

Z Andrzejem Mirskim rozmawia Janusz Korbel

Rozmowa z Andrzejem Mirskim

rozmawia Janusz Korbel

Skąd zrodził się u pana pomysł tworzenia minirezerwatów w każdej miejscowości?

Andrzej Mirski: Fascynacja przyrodą związana jest z przeżyciami w dzieciństwie i tradycjami rodzinnymi. Ojciec, legionista z czasów I wojny światowej w późniejszych latach z kolegami, oficerami uczestniczył stale w jakichś manewrach, zawodach związanych z pobytami w różnych garnizonach czy poligonach, wśród wspaniałej, dzikiej przyrody. Zdarzało się, że mnie, małego szkraba zabierano, a potem sadzano na konia, wożono taborami wśród bezdroży. W oczach dziecka na zawsze utrwaliły się chmury czajek i dzikich kaczek, wieczorne ciągi słońek, pierwsze spotkania z borsukami, lisami, nie mówiąc o sarnach, zającach, królikach czy kuropatwach i przepiórkach.

Przede wszystkim były bardzo duże ilości tej zwierzyny i bujna roślinność, czy tajemnicze parki ze stawami, ułatwiające dzieciom przed kolacją zabawy z ukrywaniem się, podchodami, a także obserwacjami.

Widok huczącej sowy lub przelatującej zaledwie parę metrów nad głową, dla kilkuletniego dziecka to niezapomniane wrażenie. Albo pierwsze spotkanie z czaplą purpurową na jakimś rozlewisku i dochodzący harmider z pobliskiej kolonii czapli.

Potem były niekończące się opowiadania przy stole, wśród lamp naftowych, do których zlatywały różne wielkie ćmy. Proszę nie zapominać, że wśród domowników trafiali się jeszcze ludzie pamiętający czasy powstania styczniowego, a te wydarzenia związane z wojskiem i otaczającą sojuszniczą przyrodą były żelaznym tematem rozmów, obok trosk o nadciągające losy Polski w okresie zbliżającej się wojny.

Po II wojnie światowej, kiedy po powstaniu warszawskim miasto było spalone, mieszkałem jakiś czas we Włochach, w pobliżu glinianek. Przyrodnicze obserwacje zubożały, ale będąc studentem Uniwersytetu Warszawskiego wcześniej rozpocząłem pracę jako „zielony” dziennikarz, a to dawało mi możliwość wyjazdów na rolnicze reportaże. Starłem się łączyć te wyjazdy z niedzielnymi wypadami do miejsc znanych z dzieciństwa, co prawda z tymi skromniejszymi, bo w obecnych granicach Polski.

Wszelkie urlopy wykorzystywałem na obserwacje przyrodnicze, wzbogacane stopniowo lekturą, fotografią czy kamerą filmową.

Moje lata studenckie przypadły na okres najczarniejszego stalinowskiego PRL i pamiętam, że wśród koleżeńskich rozterek „co zrobić” wymyśliłem wówczas hasło „przyroda nadzieją ludzkości”. W moim środowisku każdy miał nabitą głowę, że musi coś zrobić dla Polski. Rozpatrywałem więc wariant, co by tu zrobić dla przyrody polskiej. Nie mając większych możliwości i doświadczeń dosadzałem na warszawskich skwerach przywiezione z terenu jakieś drzewka i krzaki, bo denerwowały mnie pustkowie wydeptanych trawników.

Równocześnie, jeżdżąc stale po kraju i uważnie obserwując te same miejsca z rozpaczą

konstatawałem, że przyrodę traktuje się wręcz rabunkowo, mimo publicznie głośzonych frazesów o ochronie przyrody. Nawet w samej Warszawie tak znane parki jak Ogród Saski czy Park Powiśle założony przez przyrodników starszego pokolenia (naprawdę lepszego, mądrzejszego od naszego) są uszczuplane obszarowo, zielen jest dewastowana, a bloki Powiśla wdzierają się na tereny, gdzie odradzały się drzewa.

W kontekście takich wydarzeń rodził się pomysł minirezerwatów. Od razu myślałem, że to musi być program. Nie tylko ochrony i rozbudowy „zieleni”, ale przekonania ludzi, by na swoim terenie czynili podobnie jak to bywało przed wojną kiedy ogrodnicy chuchali w parkach na każdy krzaczek.

Tymczasem życie przynosiło wręcz odwrotne fakty. Kilka razy robiłem reportaż z zakładanego kombinatu PGR na północ od Zambrowa, gdzie na moich oczach odwodniono około 12 tysięcy ha cudownych bagien południowego skraju biebrzańskiego skarbu przyrody.

Przyjeżdżałem tam nieraz, by w swojej skodzie octavii spać na groblach tych odwadnianych łąk i od świtu obserwować z bliska kuliki, rycyki, cietrzewie, czajki, błotniaki, myszołowy i wiele innych ptaków, których ilość zniknęła z każdym rokiem.

Ostatecznie później sformułowany pomysł minirezerwatów obejmuje budowę w każdej miejscowości obszaru zieleni na różnych, ciekawszych siedliskach. Przeznaczonej tylko dla wolno żyjących zwierząt i roślin, a także wychowanie tam grup eko-entuzjastów i stwarzanie warunków, by poprzez tę **praktyczną** pracę dla przyrody stwarzać warunki dla rozbudzania sumienia ekologicznego. Filozoficzną ideą minirezerwatów jest, że **człowiek oddaje jakiś teren tylko dla przyrody.**

Realizował pan filmy przyrodnicze i od dawna jest pan obserwatorem dzikiego życia, Jak pan ocenia procesy, których jesteśmy świadkami, co jest pana zdaniem przyczyną coraz większej presji człowieka na świat przyrody i jaki pana zdaniem scenariusz czeka nas w najbliższych dziesięcioleciach?

Procesy, których jesteśmy świadkami oceniam oczywiście z głęboką dezaprobatą i z troską. Dotyczy to zarówno postępującego wyniszczania zasobów przyrody, jak i skrzywienia zainteresowań duchowych ludzi, właśnie z powodu odwrócenia się od wartości wynikających z fenomenu piękna i bioróżnorodności przyrody.

Z drugiej strony w tych procesach dostrzegam cieniutki strumyczek nadziei. Są to powstałe na świecie ruchy ekologiczne, także polskie. Jednak w stosunku do ogromu zadań – skruszenia tej gigantycznej skały złowrogiego antropocentryzmu, w dodatku jeszcze stale wypiętrzającej się, kropelki strumyka eko-nadziei nie zostały jeszcze nawet skierowane na skuteczniejsze tory. Stąd moje zaniepokojenie.

Buduje się dziś z materiałów drogich i trwałych, co oznacza, że amortyzacja domów i zagrod w szczerym polu to już nie 50-100 lat drewniaków, ale 300 i więcej, z potencjalną modernizacją i drogami dojazdowymi. Ludzie będą tu mieszkali, w tych trwałych bunkrach, bez przyrody, tylko z kundlami i kotami rozłazącymi się po otoczeniu, bo do pracy można dojeżdżać samochodem. Oznacza to praktycznie stały pobyt człowieka z jego wygodami, cywilizacją i zachciankami w trwale zubożonym środowisku przyrodniczym.

Wszelkie drogi dojazdowe, miedze, zakrzaczenia itp. już dziś dostosowuje się do rozmiarów wielkogabarytowych maszyn rolniczych, a w lasach maszyn leśnych. Wyniszcza się krzewy, zioła, remizy, miedze, zasypuje rowy, poszerza i utwardza drogi, a także odwadnia resztki gruntów niskich, owe malownicze dołki z kępami wierzbiny. Zaraz potem narzeka się na susze, gorsze plony, więc myśli się o rurowym (sztucznym) nawadnianiu, zraszaczach, tonach, herbicydów i pestycydów i

zablokowanej agrotechnice. Co zostaje z przyrody, setek organizmów, pożytecznych mikroorganizmów i innych, nawet nie przebadanych, co z nieznanymi współzależnościami tych organizmów współpracujących od milionów lat ewolucji nad stabilizacją bioróżnorodności, także na polach? Przecież zabijamy to w 1-2 pokoleniach, teraz właśnie!

Chaotyczna zabudowa wynikająca ze skandalicznego zagospodarowania przestrzennego wsi i otoczenia, traktującego wszelkie pola jako potencjalne działki budowlane prowadzi do budowania haniebnych domów i „kolonii” w szczerym polu, pod lasami, na obrzeżach rzek i jezior. Proceder ten nasila się zwłaszcza w neokapitalizmie RP. Pod lasami i w polach powstają nie tylko domy turystyczne ale także magazyny i fabryczki. Przyczyną coraz większej presji człowieka na świat przyrody, najkrócej mówiąc, jest przeludnienie globu ziemskiego i rozpędzony antropocentryzm obrosły teoryjkami gloryfikującymi gatunek ludzki przy niedostatecznej znajomości i chęci poznania. Innych bytów natury.

W kręgu kultury chrześcijańskiej, ocenianej przez religioznawców za najbardziej antropocentryczną, pewien wpływ ma też (nie tylko moim zdaniem) błędnie przetłumaczone i opacznie interpretowane zdanie z Księgi Rodzaju sugerujące, jakoby Bóg po stworzeniu ziemi dał ją ludziom, w dodatku mówiąc „czyńcie ją sobie poddaną”. Używając współczesnego języka z pewnością chodziło tu tylko o dzierżawę Ziemi z zezwoleniem korzystania z jej zasobów, ale w sposób zapewniający ciągłe odnawianie ich, no i bez prawa nieodwracalnego wyniszczenia tego, co Bóg stworzył.

Jaki scenariusz czeka nas w przyszłości? W uproszczeniu przewidywać można dwie możliwości. Pesymistyczny wariant to niezatrzymany pochód materialistycznego antropocentryzmu, żerującego na zasobach przyrody, który będzie ogarniał coraz większe miliony i miliardy wzrastającej ludności. Mimo pozornych ruchów, doraźnie korzystnych i potrzebnych, takich jak oczyszczalnie, redukcje spalin itp., doprowadzić to musi do ostatecznego wyniszczenia przyrody. Nie uda się zapobiec masowym migracjom i wzrastającym konfliktom społecznym, także zbrojnym, a jeśli dodać do tego rozwój nieuniknionych chorób i epidemii, lokalne walki o wodę itd, wszystko to musi doprowadzić do upadku ziemskiej cywilizacji.

Wariant optymistyczny to przyspieszenie działań, a więc nie tylko teoretyzowania i mówienia o tym co wiadome, na rzecz samoograniczania się ludzi. Trzeba uwzględnić koszty pozyskiwania przyrody przy wszelkiej działalności człowieka, tj. produkcyjnej, kulturalnej, rozrywkowej. Jesteśmy na samym początku tej drogi. Są już opracowane niemal kompleksowe programy (Al Gore'a czy Rio+5), rzecz w tym, że nigdzie nie są wdrażane przez rządy, a organizacje ekologiczne czy stowarzyszenia naukowe nie wypracowały skutecznych sposobów nacisku w stosunku do światowych ośrodków finansowych i administracji.

Jest to zagadnienie niezmiernie trudne. Pesymiści twierdzą, że niewykonalne, gdyż wymaga rewizji całej konstrukcji współczesnej ekonomii rynkowej, kapitalistycznego złotego cielca, dla którego rzekomo nie istnieje żadna alternatywa, bo niejako „automatycznie” rozwiązuje wszelkie problemy drogą rynkowej konkurencji. Oczywiście nie wszystkie!

Ten tragiczny w konsekwencjach błąd należy prostować na wszelkich forach międzynarodowych i lokalnych.

W sferze duchowej musi się to wiązać ze wskazywaniem ludziom innych atrakcyjnych zainteresowań niż przeważające dziś tematy rozrywki. Film i telewizja zajmuje się życiem środowisk przestępczych, przemocą, dewiacjami seksualnymi, prymitywnym konsumpcjonizmem, obłądną rywalizacją „o wszystko” itd. Na tym źle administrowanym, przez ludzi globie harmonijne, godne życie w sferze duchowej zapewnić mogą tylko dwie grupy zainteresowań:

- moralne ustalenia religii, uniwersalne zasady przyjmowane także przez niewierzących, pełne poszanowania i miłości współżycie między ludźmi;
- szeroko pojmowana przyroda, ze swym fascynującym pięknem i związkami poszczególnych bytów natury których człowiek nie zdołał nawet dostatecznie poznać.

Przyroda zawsze będzie niewyczerpanym źródłem inspiracji duchowej. Tylko „powrót do natury”, ale w znaczeniu stymulowania głębokich zainteresowań przyrodą i partnerskiego jej traktowania (sposób na życie) może być gwarantem, że człowiek dobrowolnie, stopniowo wyzwoli się ze swego zgubnego antropocentryzmu i wykształci godniejszy, nie prowadzący do samozagłady model cywilizacji i kultury.

Ważnym krokiem **praktycznego** przyjęcia tej filozoficznej zasady może być lansowany przeze mnie postulat przy budowaniu minirezerwatów w każdej miejscowości, a mianowicie:

Po raz pierwszy u schyłku XX wieku człowiek dobrowolnie decyduje się oddać część rzekomo tylko swego terytorium, na rzecz wolno żyjących zwierząt i roślin (którym odebrał ich siedliska naturalne warunki życia i przetrwania), zakładając dla nich minirezerwat i postanawia tego terenu nie penetrować. A czyni to w każdej miejscowości!

Taka prosta i zrozumiała decyzja, po prostu rodzaj jedenastego przykazania dodanego do szanowanego dekalogu, może okazać się pomocna przy „metanoi”, czyli tej koniecznej przemianie świadomości, która jest nam potrzebna dla tworzenia nowej cywilizacji.

W USA zniknął już zawód rolnika (został wykreślony z rejestru zawodów), w tzw. wysoko rozwiniętych krajach niemal wszyscy mieszkają lub pracują w miastach. Czy społeczeństwo pozbawione głębszych kontaktów z dziką przyrodą może jeszcze zrozumieć zależności od tej przyrody?

Podzielam głęboką troskę zawartą w pytaniu. Myślę jednak, że znaczenie zależności od przyrody utrzymywanej w dobrej kondycji będzie docierało do coraz większej liczby ludzi. Życie w miastach już teraz obciążone jest wieloma uciążliwościami. Kontakt z naturą, nawet już nie tak legendarnie „dziką”, nieskażoną, będzie coraz większym przedmiotem pożądania. Ludzie będą coraz bardziej masowo odczuwać niedogodności życia w tłoku i hałasie, choroby psychiczne będą nękały ogromny procent populacji, dojdą też nowe choroby. W tym kontekście szybko skończą się żalodne bajania o możliwości godnego życia na ziemi iluś tam jeszcze miliardów ludzi. Problem humanitarnego, zgodnego z zasadami etyki ograniczania ilości ludzi stanie się centralnym problemem nie tylko krajów wysoko rozwiniętych.

Ale dostrzegam w pytaniu jeszcze jedną, szczególnie bliską mi myśl: społeczeństwo pozbawione głębszych kontaktów z dziką przyrodą w moim odczuciu bezpowrotnie traci ogromne wartości duchowe, związane z mistycznym pojmowaniem natury. Wśród ludzi o ciekawej osobowości, wrażliwych i myślących padają takie określenia jak – boskość obecna w świecie przyrody, etyka altruizmu, mistyka natury, mądrość, a nie tylko wiedza.

Wróćmy do idei minirezerwatów w każdej miejscowości. Angielska grupa o nazwie The Wilderness ([przedstawiana w Dzikim Życiu nr 5/98](#)) propaguje po prostu pozostawienie pewnych obszarów przyrodzie i obserwowanie co się tam dzieje, bez żadnej ingerencji. Ich koncepcja opiera się na całkowitym zaufaniu naturze, na wierze, że to przyroda wie najlepiej, a nie człowiek. Pan proponuje sadzenie drzew. Czy nie jest to zbyt daleko

posunięta ingerencja w naturalne procesy? A co, jeśli za realizację tej idei wezmą się ludzie bez odpowiedniej pokory wobec przyrody i swoimi działaniami zaczną eliminować potencjalne bogactwo miejsca, zalesiając na przykład jakieś nieleśne zbiorowisko?

Nie ma tu najmniejszych obaw. Zacznę jednak od sprostowania; gdyż nie proponuję tylko sadzenia drzew. To już było dawno przed wojną. MINIREZERWATY to po pierwsze **stały** program zazieleniania, a po drugie program **wychowania** proekologicznego poprzez pracę w każdej miejscowości.

Już w skrótowym opisie minirezerwatów, w 1990 roku zaznaczałem, że szczegóły muszą być rozwinięte w broszurze instruktażowej, przy udziale specjalistów. Cennego turzycowiska na kwaśnych glebach, czy wrzosowiska nie wolno przekształcać w rezerwat o innym charakterze zespołu biotycznego. Trzeba tylko rozważyć możliwość wykupienia okolicznego gruntu o podobnym charakterze, aby przywrócić dawną powierzchnię, z reguły uszczuploną ingerencją rolniczą lub inną (śmietnik), uzupełnić roślinami, które tutaj ongiś rosły i całość zostawić w spokoju.

My wszyscy, przeciętni zjadacze chleba, do których sam siebie zaliczam – potencjalni budowniczo minirezerwatów, stykamy się głównie z lasami, nie koniecznie wiedząc, że charakteryzują się one różnymi biocenozami. Leśna biocenoza, ów zespół zwierzęcych i roślinnych organizmów wyróżnia się zwykle zwarcie rosnącymi drzewami i krzewami, które w symbiozie z danym środowiskiem (glebą) osiągnęły zdolność samoregulacji i względną trwałość. Leśnicy poprzez zabiegi hodowlane i uprawowe mogą poważnie ingerować w życie leśnych biocenoz, na przykład przyspieszać procesy lasotwórcze, zwiększać produktywność wybranych gatunków i tak dalej.

Im mniej majstrujemy przy ingerowaniu w naturalne procesy samoregulacji, tym większą zachowujemy bioróżnorodność danego siedliska. I taką, ogólnie mówiąc, metodę postępowania stosujemy przy budowaniu (rozszerzaniu) minirezerwatów. Bo jak pisałem wielokrotnie, nie zakładamy ich w szczerym polu, tylko wykorzystując już jakieś resztki zdewastowanych biocenoz.

Szczegóły przewidziane są w broszurze. W artykułach mogłem tylko akcentować potrzebę sadzenia gatunków rodzimych, uwzględnienia wartości lokalnych biocenoz, korzystania z fachowych konsultacji itp. Kładłem też nacisk na radość i satysfakcję z rezultatów, słowem na korzyści zachęcające (a nie zniechęcające trudnościami) młodzież i starszych do podejmowania tej inicjatywy. Konkretnie działania oparte są na doświadczeniach wielu polskich przyrodników, począwszy od Izabeli Czartoryskiej w XVIII w. poprzez Dezyderego Chłapowskiego w XIX w. aż do czasów współczesnych, żeby wspomnieć choć tylko znakomitego ornitologa Jana Sokołowskiego czy zespół prof. Lecha Ryszkowskiego, pracujących od lat w stacji naukowej PAN w Turwi. Jest to więc w pełni Polski program, którym mogłyby się zainteresować także inne kraje. Może wreszcie we Włoszech czy na Bliskim Wschodzie przestano by mordować przelotne ptaki, które do dziś w ilości ok. 250 milionów rocznie wyłapują w sidła i strzelają pseudomyśliwi.

Co chciałby pan powiedzieć czytelnikom Dzikiego Życia, wśród których są zarówno ludzie zainteresowani ogólnie ochroną przyrody, specjaliści, jak też osoby zaangażowane w konkretne kampanie w obronie miejsc cennych przyrodniczo?

Od Amerykanów nauczyłem się ważnej metody – trzeba działać poprzez media i inne organizacje, dostarczając im materiały i prosząc, aby przyłączyli się do naszych konkretnych propozycji. Do współpracy pozyskać trzeba przede wszystkim gminne samorządy i naukowców. Liderzy powinni sformułować kilka głównych zadań, dokładnie instruktażowo to opisać, aby przyłączające się nowe zastępy zielonych nie musiały wyważać otwartych drzwi i powielać naszych błędów.

Potrzebne są konkrety, a nie teoretyzowanie. Wymienię tu:

1. Przymierze liderów ekologicznych w 3-5 praktycznych sprawach.
2. Bezrobotni stale i wszędzie powinni być zatrudniani dla przyrody. Pobieranie zasiłków powinno obligować do konkretnych prac dla przyrody.
3. Na początek dwa razy w roku ruch zielonych powinien organizować konferencję prasową.
4. Należy opracować materiały dla samorządów, dla stałej pracy nad zazielenianiem Polski i ochrony dzikiego życia w każdej miejscowości.
5. Rok 2000 chrześcijanie mogliby uczcić postawieniem w każdej gminie kapliczki otoczonej czterema dębami.
6. Należy - zająć się ponownym - zazielenianiem cmentarzy, które dziś stają się bunkrowate. Potrzebna jest broszura z projektem niskokorzeniowej zieleni.
7. Kto ogłosi konkurs na nowe bajki dla dzieci, przyjazne zwierzętom i prostujące nieaktualny stan wiedzy? Zwierzętom nie wolno przypisywać ujemnych cech ludzkich.
8. Trzeba pozyskiwać młodzież, tworzyć przymierze ekologów, pozyskiwać emerytów i rencistów i założyć fundację na cele „Przymierza Ekologów”.

Gdyby mnie zapytano o jedno, najważniejsze działanie powiedziałbym: Najważniejsze jest trwałe wejście do dużych mediów swoistego przymierza ekologów i doprowadzenie poprzez samorządy do zastopowania zabudowy Polski siedliskami w szczerym polu oraz „zazielenianie” czego tylko się da, wszędzie.

Ważne dla ratowania dzikiego życia, trudne problemy to program przesiedleń ludzi z dolin rzecznych, w których powinno się przywrócić poldery i zadrzewienia grądowe oraz z bezmyślnie tworzonych tzw. kolonii, a także zalesianie terenów górskich i górzystych, co ma ogromne znaczenie dla przyrody, klimatu, zapobiegania powodziom i także dla ludzi, gdyż podnosi wartości turystyczne i rekreacyjne.

Dziękuję bardzo za rozmowę. My dodajemy do tych haseł jeszcze jedno: ani kroku dalej w dewastacji dzikiej przyrody. Mam nadzieję, że projekt strażników miejsc cennych przyrodniczo, vademecum aktywisty i powstająca Mapa Dzikiej Polski odpowiadają częściowo na pana propozycję, a idea minirezerwatów w każdej miejscowości zacznie przybierać konkretną formę.

Andrzej Mirski - dziennikarz, filmowiec i miłośnik przyrody jest autorem projektu założenia w każdej miejscowości minirezerwatu przyrody (zob: Przyroda Polska 10/97, Dzikie Życie [11/1997](#) i [7-8/1998](#)). Mieszka w zabytkowym budynku dworskiego rządcy w zespole podworskim w Huszlewie na Podlasiu.